

Stoimy razem, ściśnięci przed pałacem rodu Medicich. Wszyscy dokoła rozmawiają ściszonymi głosami.

– Wiedziałem, że to się wydarzy. Tamtej nocy widziałem na niebie kometę.

– A ja słyszałem wycie wilków. Słyszycie? Wilków!

– A lwy w zwierzyńcu przy Palazzo Vecchio – te bestie – zaczęły ze sobą walczyć.

Zupełnie bez powodu! Zjadły rzucały się na siebie. Jeden zginął!

– Tak, ten najpiękniejszy. Sam widziałem.

– No i piorun! Zniszczył latarnię na wieży kościoła Santa Reparata. Wielkie kawały kamienia posypały się w kierunku pałacu Medicich. Dokładnie w tę stronę.

Mocniej ściskam ramię matki. Ogarnia mnie przedziwne uczucie. Pełnie wokół uszu i skroni. Wszystko wydaje mi się dziś obce. Florencja przestała być tym tętniącym życiem, szczęśliwym miastem, które odwiedzałam wcześniej, i stała się miejscem pełnym mrozących krew w żyłach tajemnic.

Ludzkie twarze ściąga strach i żal. Tulę się do *mammy*. Czuję jej dłoń, pieszczącą mój policzek.

– Teraz okazuje się, że wszyscy widzieli znaki – szepce do mnie kpiąco. – Każdy przecież wiedział, że Lorenzo był już umierający, więc nietrudno było to przewidzieć... – obniża głos tak, że nawet ja ledwie ją słyszę.

Ach, dzięki Bogu, że mam taką rozsądną matkę, która potrafi odpędzić widma przesądów najprostszymi nawet słowami. Może naprawdę nie wydarzyło się nic strasznego. Prostuję się i rozglądam dokoła.

Ostatnio byłam tu na uroczystościach z okazji Bożego Narodzenia. Cztery pełne wrażeń dni – o wiele za krótko. Muzycy, bazarze i kaznodzieje wystawali na każdym z placów.

Najwspanialszym widowiskiem było misterium Narodzenia Pańskiego, napisane przez samego Lorenza de Medici. Występowały w nim jego dzieci. A kostiumy! Dech w piersiach zapierały.

A teraz już go nie ma. Lorenzo de Medici, Il Magnifico – Lorenzo Wspaniały. Wielu ludzi nazywa się wspaniałymi. Ale on naprawdę tego miana był godzien. Ojciec wciąż to powtarza, gdy ludzie składają sobie kondolencje. De Medici zmarł w swojej letniej willi w Careggi – na północny wschód stąd. Pogrzeb jednak odbywa się tutaj i przyszła nań cała Florencja, a także większość ludzi z prowincji. Jakiś mężczyzna wspina się na skrzynię i przy akompaniamencie muzyki recytuje wiersz po łacinie. Głos mu drży. Większość gapiów rozchodzi się. My, pozostali, robimy, co możemy, by wyglądać na zasłuchanych.

Łacina idzie mi strasznie. Brałam lekcje, przyjeżdżał do mnie prywatny nauczyciel i nauczył mnie czytać w języku, którym mówię. Ale łacina jest niezwykle trudna – wszystkie te końcówki przypadków i dziwna odmiana czasowników. A greka?! Bakałarz dał mi kiedyś przedsmak tego, jak będą wyglądały jej lekcje – miały się rozpocząć na dobre po moich czternastych urodzinach – wystarczyło to, bym

się przekonała, że nauka greki to najczystsza forma okrucieństwa. Ucieszyłam się, gdy ów „mędrzec” zrezygnował z posady. Stwierdził, że takie uczennice jak ja są dowodem na słusność prawa mówiącego, że nie każda szlachetnie urodzona paniątka musi pobierać nauki.

Tak czy inaczej poznaję ten wiersz. Słyszałam go już wcześniej. Ktoś inny recytował go w kaplicy Medicich w kościele San Lorenzo, tam gdzie pochowano Il Magnifico. Spoczął obok swojego brata Giuliana, zamordowanego jeszcze przed moimi narodzinami.

Ten wiersz to żałobny lament. Pióra sławnego Poliziano. Flamandzki kompozytor ułożył do niego muzykę. Słyszać go przez dzień, i to nie tylko tutaj. Mowy pogrzebowe zostaną wygłoszone w całej Italii – będą powtarzane przez cały tydzień, w miarę jak będzie się rozchodzić wieść o śmierci Il Magnifico. Dowiedzą się o niej wszystkie królestwa, księstwa i republiki – a nawet państwo papieskie – Lorenzo był bardzo ważną osobistością.

*Papa* wytłumaczył mi, o czym mówi ta oda: poezja i muzyka ucichły na wieki z żalu na wieść o śmierci wspaniałego poety Lorenza, największego mecenasa sztuki w dziejach. Oczywiście to bzdura – w końcu sama oda jest przykładem poezji i muzyki.

Przestaję udawać, że słucham, i rozglądam się w poszukiwaniu kogoś znajomego. Wzdłuż ulic rozstawiono stoły, na które wyłożono najprzeróżniejsze smakołyki; ucztowanie jest częścią żałoby. Jutro zaś mają się rozpocząć turnieje. Wszystko wokół zaczyna przypominać wielkie święto.

Och, oczywiście wiem, że ludzie szczerze żałują śmierci Lorenza. Dzięki niemu na ulicach Florencji odbywały się przedstawienia teatralne i występy cyrkowców. Karmił lud przy długich bankietowych stołach, czasami przez wiele dni z rzędu. I to dzięki niemu Florencja stała się znana jako miejsce, do którego można przybyć, by cieszyć się życiem, bogactwem i zabawą. Mieszkańcy miasta naprawdę więc czują smutek. W tej chwili jednak mam wrażenie, że większość z nich po prostu gra.

*Mamma* bierze mnie za rękę. Ona zawsze wie, kiedy się niecierpliwię. A ja – o ironio – ledwie kilka dni temu powiedziałam jej, że nic nie rozumiem.

Oda dobiega końca i teraz swój wiersz odczytuje młody malarz, Michelangelo. Jest opryskliwy i ma paskudny nos. Wyjątkowo odstręczający osobnik.

– Co za brzydki młodzieniec – szepczę do ojca.

– Powiadają, że tworzy cudowne obrazy – równie cicho odpowiada *papa*. – A jeszcze piękniejsze są ponoć jego rzeźby. Ma ledwie siedemnaście lat, a już jest mistrzem.

Wstyd pali mi policzki. W końcu przecież nawet artysta nie może zmienić własnego wyglądu.

– Ser Antonio, to pan... – Do ojca podchodzi mężczyzna w średnim wieku. Wyciąga go z tłumu, i oddalają się od skrzyni mówcy. *Mamma* i ja podążamy za nimi.

Nieznajomy unosi kapelusz i dostrzegam jego twarz. Och! Czyżby to naprawdę on?

– Ser Leonardo – wita się radośnie ojciec.

Miałam rację: to Leonardo da Vinci, syn notariusza Ser Piera, jednego z ważnych klientów *papy*. Ojciec jest najzagorzalszym wielbicielem talentu Leonarda, którego wynalazki zdumiewają wszystkich. Nie widziałam go, odkąd kilka lat temu przeprowadził się do Mediolanu. Nie można go jednak zapomnieć: ma prosty nos, mężne spojrzenie, pełne wargi i gęstą brodę. Jest przy tym bardzo dowcipny – pamiętam, że zawsze umiał mnie rozśmieszyć. Podekscytowana, kołyszę się na piętach.

*Mamma* rzuca mi natychmiast pełne dezaprobaty spojrzenie. Nieruchomieję i staram się wyglądać godnie. *Papa* i Leonardo ściskają się. Wynalazca mruga do mnie ponad ramieniem ojca.

– Sądziłem, że jesteś w Mediolanie – zagaja *papa*.

– Wieści doszły mnie, gdy w Pizie bawiłem. – Leonardo całuję matkę w rękę, po czym wydaje z siebie jęk zachwyty. Udaje, że dopiero mnie zauważył. Moją dłoń też całuje, zupełnie jakbym była dorosła.

– Mała *monna* Betta, czy to nie tak nazywa cię ojciec?

Wyrasta z ciebie niepośledniej urody niewiasta. – Rzuca spojrzenie na moją matkę. – Cóż, ale tego można się było spodziewać, sądząc po pięknej *mammie*.

Matka skromnie spuszcza wzrok.

– Powinno się ciebie nazywać pełnym imieniem – *madonna* Elisabetta – bo wyglądem możesz konkurować z samą Madonną.

Rumienię się. Nie jestem tak naiwna, żeby w to wierzyć. Mężczyźni, gdy schlebiają kobietom, posuwają się do niestworzonych absurdów. Wiem o tym i rumieńcem oblewam się tylko dlatego, że tego rodzaju zachowanie jest dla mnie czymś nowym. Do tej pory zawsze byłam tylko dziewczynką. Nie spuszczam jednak oczu. Utrzymuję spojrzenie na tym wspaniałym mężczyźnie. Niech wie, że mnie nie zdobył słodkimi słowami. Niemniej doceniam, co powiedział.

– Co o tym myślisz? – Leonardo zwraca się do ojca. – Ledwie czterdzieści trzy lata. Wygląda na to, że na braciach Medicich ciąży jakieś fatum. Tyle przynajmniej dobrego, że nie zginął w zamachu.

– Chorował od wielu miesięcy – podejmuje *papa*. – Wszyscy się tego spodziewali. Zwłaszcza po przepowiedni tego dominikanina.

– Girolamo Savonarola. – Leonardo kręci z niesmakiem głową. – Słyszałem, że twierdzi, iż Lorenzo uczynił z Florencji gniazdo rozpusty. Zakłamany świętoszek. – Za zbytne zainteresowanie doczesnością krytykował nawet samego papieża. To renegat. Przepowiedział też Florencji ciężkie czasy.

Rozmowa toczy się dalej. Nic nie rozumiem. Ojciec mówi tak, jakby zupełnie nie dbał o Savonarolę. A jeszcze zeszłej nocy powiedział mamie, że przepowiednie mnicha go martwią. Przypomniał, że Il Magnifico nazywał swych trzech synów „głupcem”, „mędrcom” i „dobrym”. I ten najstarszy, który odziedziczył stanowisko w rodzie po ojcu, jest właśnie owym „głupcem”. Szykują się kłopoty – tak właśnie mówił ojciec, a teraz wszystko lekceważy. Drażni mnie to. Co złego może przyjść z mówienia prawdy? Zwłaszcza w rozmowie z Leonardem, człowiekiem, którego znamy od zawsze?

Udaje mi się rozpoznać wszystkich trzech synów Lorenza. Mieszkańcy Florencji dobrze znają ich twarze. Kiedy miałam dziesięć lat, przedstawiono mnie najmłodszemu. Nasi ojcowie spotkali się przypadkiem na ulicy, a my byliśmy z nimi. Poza tym, ojciec robi z nimi interesy. Kilka razy też, kiedy jeszcze byłam mała, bawiłam się z najmłodszą córką Lorenza. Jest ode mnie starsza tylko półtora roku, ale już od dawna chadza na bale. Mój bal, ten po urodzinach, będzie dla mnie pierwszym poważnym wydarzeniem towarzyskim. Teraz jednak nie jestem pewna, czy on się w ogóle odbędzie. *Papa* powiedział, że podczas żałoby nie rozmawia się na radosne tematy.

– *Madonno Elisabetto* – odzywa się Leonardo i kiwa w moją stronę.

Wyrwa mnie z zamyślenia. Nie mam pojęcia, o czym mówili. Spoglądam pytająco.

– Chciałbym, żebyś towarzyszyła mi przez resztę dnia – patrzy na ojca. – O ile, oczywiście, *papa* pozwoli ci uczynić mi ten zaszczyt. Obiecuję, że nic się jej nie stanie.

– Jakże mógłbym odmówić? – odpowiada ojciec.

Oczy matki błyszczą nadzieją i determinacją. Wiem, dlaczego. Leonardo jest na ustach całego miasta. Urodził się jako nieślubne dziecko chłopki i arystokraty w Anchiano, pod Vinci. Jego rodzina przeniosła się do Florencji i ojciec – sam będąc intelektualistą i miłośnikiem artystycznej swobody – zapewnił chłopcu wykształcenie u najlepszych nauczycieli. Leonardo pobierał nauki u Verocchia, świetnego malarza i rzeźbiarza, który z kolei uczył się u wielkiego Donatella. Ale Leonardo wkrótce prześcignął obu mistrzów.

Nikt nie bierze za swoje dzieła więcej złota niż on. Podśluchałam kiedyś, jak matka mówiła, że to z powodu jego niebывałego talentu – sama mdleje przed jego malowidłami. *Papa* z kolei podziwia wynalazki Leonarda. Ten mężczyzna dla każdego ma w zanadrzu coś wspaniałego. Poza tym jest jeszcze coś, co z pewnością mu pomaga: jest przystojny. Ma wspaniałe rysy. A w dodatku pięknie śpiewa. Może stać się najlepszym artystą, naukowcem, filozofem, anatomem, astronomem, budowniczym, wynalazcą – kto wie, kim jeszcze. Ale przede wszystkim jest mężczyzną – i nawet teraz, gdy ma czterdzieści lat, większość kobiet uważa go za najatrakcyjniejszego kawalera Florencji.

Maluje dla bogaczy, choć powiadają, że potrafi całe lata pracować nad zleceniem i nigdy go nie ukończyć. Namalowany przezeń portret Ginevry de' Benci wszyscy okrzyknęli cudem. Sportretował też Cecilie Gallerani, kochankę księcia. Wszystkie arystokratki pragną, by je malował. I to dlatego matka pozwala mi z nim pójść – żebym miała okazję obracać się wśród bogaczy. Poza tym owo zaproszenie odpowiada jej planowi rychłego znalezienia mi szlachetnie urodzonego męża.

Leonardo podaje mi ramię. Czuję, jak w brzuchu zaczynają mi latać motyle. O czym ja mam z nim rozmawiać? Ale nie zachowam się jak wystraszony króliczek; nie jestem Valerią. Przejęta, przełykam ślinę, przyjmuję oferowane przez niego ramię i ruszamy przed siebie.

Wplątamy się pomiędzy rojące się na ulicy konie, muły i wozy. Nie widzę już matki ani ojca. Nie jestem nawet pewna, gdzie jestem. Nie znam przecież całej Florencji.

Przypadkiem zerkam w boczną uliczkę. Jakiś mężczyzna wypróżnia się tam. Ma na sobie obdartą koszulę i brudne spodnie. Odwracam się i modłę, by Leonardo nie ujrzał tego widoku, a przynajmniej, by nie zauważył, że ja to widziałam. Bieda i nieszczęście są wszędzie, nawet we Florencji. Dzielnica, w której znajduje się farbiarnia, dokąd *papa* wozi nasz jedwab to prawdziwe piekło na ziemi. Słyszałam, jak mówił o tym ojciec Valerii. Nie rozumiem jednak, dlaczego ten biedak z alejki nie poszedł do kościoła franciszkanów i nie poprosił o pomoc?

Na szczęście nie jest mi dane dłużej zastanawiać się nad jego rozpaczliwą sytuacją. Leonardo zatrzymuje się i przedstawia mnie komuś. I jeszcze jednej osobie. Witam się ze wszystkimi skinieniem głowy, wdzięczna mojemu przewodnikowi za to, że głośno wymienia moje nazwisko i wciąż powtarza – niemal wykrzykuje – jaką śliczną, młodą damą się stałam. Większość z napotkanych osób zna moich rodziców; florencka arystokracja nie jest szczególnie liczna. Cieszę się, że za pierwszym razem ujrzą mnie właśnie u boku Leonarda. To na pewno wryje im się w pamięć.

Starsi mężczyźni noszą ciężkie stroje z bogato zdobionego brokatu; młodzi, smukli i elegancy, mają na sobie obcisłe pończochy i aksamitne, obszyte futrem płaszcze. Kobięce stroje rzucają swoimi barwami wyzwanie ubraniom panów. Po drodze mijamy wierzchowce, wystrojone równie okazale, jak ich właściciele. Połączane strzemiona, złote nici, wplecione w jedwabne szarfy, zarzucone na końskie grzbiety. Duma rozsadza mi pierś.

– To, że tak tu wesoło, jest w dużej mierze zasługą mojego ojca – odzywam się do Leonarda.

– Doprawdy? A w jakiż to sposób?

– Len nie daje się farbować. Wełna przyjmuje kolory bardzo opornie. Ale jedwab aż cieszy się na myśl o barwach.

Ponieważ mój towarzysz zatrzymuje się i zadaje mi kolejne pytania, opowiadam szczegółowo o naszym rodzinnym interesie. Wygląda na to, iż Leonardo chce poznać cały proces produkcji jedwabiu – od początku do końca. Słucha mnie z uwagą i skupieniem.

Moje oczy wyławiają z tłumu jedną z kobiet.

– Popatrz, proszę, na perły w jej włosach – mówię i z radości aż klaszczę w dłonie. – Cudne i fantastycznie oprawione. Taka biżuteria każdą uczyniłaby piękną.

– Czyżbym wyczuł nutę smutku? – Leonardo odsuwa mnie od siebie, wciąż jednak trzymając za dłonie, i obrzuca spojrzeniem od stóp do głów. Mam na sobie sukienkę z żółtego, barwionego nagietkami jedwabiu. Dostałam ją rok temu i gorset stał się ciasnawy. Nie da się jej nawet przyrównać do piękna i wyrafinowania strojów otaczających nas ludzi. Nagle czuję ochotę, by uciec i schować się w ramionach *mammy*.

– Jesteś złociutką, rozmigotaną iskierką. Skrzysz się światłem jak brylant. Zwłaszcza kiedy kołyszysz się na piętach – jego spojrzenie droczy się z moim. – Ale jest w tobie coś jeszcze. Praktyczność, która sprawia, że jesteś prawdziwsza od innych. Twoje przejrzyste oczy obiecują tajemnicę. Jakbyś czekała i obserwowała. Jakby nic i nigdy nie było cię w stanie zaskoczyć. To aż niepokojące. Zapamiętaj moje słowa, *madonno* Elisabetto, pewnego dnia, gdy doświadczenie dopełni twej doskonałości, poproszę o zaszczyt i zechcę namalować twój portret.

Dłonie wędrują mi ku piersi i naciskają mocno, jakby po to, bym nie upadła na buzię. Od takich dziwnych słów zaczyna mi się kręcić w głowie. Leonardo bierze moją rękę i wsuwa ją sobie pod ramię. Znowu idziemy. Wszystko wokół łśni. Śmiech unosi się i wiruje w powietrzu. A może to tylko moje uszy i oczy sprzysięgły się, by nie słyszeć i nie widzieć pogrzebowych lamentów?

– Bezbożność! – huczy donośny głos. – Rozpusta! Moralna zgnilizna! Wszystko to stanie się korzeniem upadku Florencji! Strzeżcie się!

Odwracam się, by spojrzeć w tamtą stronę, ale jakiś nieznajomy mężczyzna bierze Leonarda za lewy łokieć i ciągnie nas za sobą. Ubrany jest w czerwony aksamit i białe koronki.

Na głowie ma kapelusz, który liczbą sterczących na nim piór mógłby konkurować z najpyszniejszymi nawet ptakami. Cóż to za fantastyczny stwór?

– Savonarola. – Wskazuje brodą w kierunku, z którego dobiega głos kaznodziei. – Dobrze przynajmniej, że podczas mszy zachował się jak cywilizowana istota. Dłużej jednak już nie mógł wytrzymać. Mój ojciec popełnił błąd. Nie powinien był wyganiać go z Florencji.

Obracam się i przyglądam twarzy mężczyzny w kapeluszu. Och, to przecież Piero – najstarszy z synów Lorenza de' Medici i od niedawna najbogatszy z mieszkańców naszego miasta. Serce zamiera mi na moment.

Teraz i on mnie zauważa. Zdaję sobie sprawę, że przyglądam mu się z otwartymi ustami. Zamykam je pośpiesznie. Piero się uśmiecha i zatrzymuje na mnie spojrzenie w dziwnie poruszający, niepokojący sposób. Zamieram w bezruchu.

– Znajdźmy lepsze miejsce! – Piero wchodzi pomiędzy mnie i Leonarda. Chwyta moją rękę i kładzie ją sobie w zgięciu łokcia, przytrzymując ją drugą dłonią. Zachowuje się tak, jakby w ogóle nie przejmował się tym, że mnie przed chwilą obraził.

– Prezentacji dokonamy, gdy będziemy mieli więcej spokoju – zwraca się do Leonarda. – Jak zatem żyję ci się w Mediolanie? Słyszałem, że zostałeś głównym budowniczym mostów i okrętów u księcia Sforzy? I, co mnie fascynuje najbardziej, zajmujesz się też uzbrojeniem jego armii? Powiedz mi, Ser Leonardo, czy on nie zamierza użyć twoich wynalazków, by podbić Florencję?

– Książę nie wtajemnicza mnie w swoje plany – odpowiada Leonardo. – Ja tylko projektuję.

– I, jak rozumiem, wciąż „tylko” malujesz?

– Nie byłbym sobą, gdybym nie malował.

Piero przeprowadza nas na drugą stronę ulicy i wchodzimy po stopniach wiodących do pałacu Medicich. Nie mogę w to uwierzyć. Gdy znajdujemy się już wewnątrz, Piero obraca się na pięcie, tak że nieomal zderzam się z jego piersią. Całuje mnie w dłoń. Potem przesuwając usta w górę mego ramienia. Wołam w przestraszu i wrywam się.

– Miarkuj się, proszę! – Leonardo staje przede mną. – *Monna* Elisabetta jest damą.

Piero krzyżuje ręce na piersi, wsuwa dłonie pod pachy. – Trzymać ręce z daleka, tak? – Obchodzi Leonarda dokoła i kłania się mi. – Czy naprawdę tego życzy sobie nasza dama?

Ten człowiek jest najstarszym synem zmarłego Medici. Nie wolno mi okazać mu odrazy. Szukam w myślach najmniej obraźliwej odpowiedzi.

– Jest pan żonatym mężczyzną, Ser Piero – mówię. Jest też ojcem, ale o tym już nie wspominam. Spoglądam na Leonarda, który przygląda się wiszącemu na ścianie obrazowi.

– A czy poznałaś już Alfonsinę, moją śliczną pannę młodą? – Piero uśmiecha się krzywo. Kręcąc przecząco głową.

– Wiesz, co zaprzęta myśli mojej żony? Widelce, obrusy, prześcieradła – Piero wylicza na palcach. – Ręczniki, lniane koszule, chrupiące ciasteczka, ptysie, wino z Trebbiano, sałata, ogórki, gotowane kurczęta i koźlecina, pieczone gołębie, pasta migdałowa, bombonierki. – Opuszcza ramiona i ciężko wzdycha. – Wszystko to dla gości. – Jego oddech pachnie ostro. Wina jednak nie czuję. – Czy mam kontynuować? Chcesz, żebym wymienił listę zajmujących ją strojów? A może biżuterii? Albo jeszcze lepiej...

– Proszę przestać.

– Przestać? Zdajesz sobie sprawę, że każesz zamilknąć geniuszowi? Prawdziwemu geniuszowi! Czy naprawdę nie ma w tobie ani krztyny szacunku? – Wyciąga język niczym psotny chłopiec. – Wiesz, czym się zajmował mój ojciec?

Nie pamiętam, bym kiedykolwiek o tym słyszała. Mrugam szybko. Zalewa mnie wstyd. Czuję żar w głowie.

– Nie wiesz, prawda? Cóż, nie smuć się, mała damo. Twoje milczenie nie jest bezpodstawne. Mój ojciec był geniuszem, tak samo jak przedtem jego ojciec i dziad. To u nas rodzinne. Lorenzo II Magnifico rządził Republiką Florencji za pomocą posiadanych przez siebie banków i kreując się na rozjemcę pomiędzy nami a innymi państwami Italii... – Piero milknie na

chwilę. Na jego twarzy pojawia się tryumfalny uśmiezek. – ...i wszystkiego tego dokonał, nie piastując żadnego urzędu. Dzięki temu nigdy nie czuł na sobie presji ludu, który mógłby go pozbawić stanowiska. Rządzimy i nikt nie jest w stanie nam tej władzy odebrać. Nie wydaje ci się, że to oznaka prawdziwego geniuszu?

Patrzę na niego szeroko otwartymi oczami.

– Zadałem ci pytanie! – warczy na mnie.

Kulę się.

– Czyżbym widział łzę? – Piero kręci głową. – Żal ci samej siebie. Poczulaś nagle, że przy mnie jesteś tylko dzieckiem, prawda?

Szarpię Leonarda za rękaw, ale on nie zwraca na mnie uwagi.

– Mam dwadzieścia jeden lat – ciągnie Piero. – Mój ojciec był w tym samym wieku, gdy zmarł jego ojciec. Co o tym sądzisz? – Uśmiecha się, wypranym z wesołości uśmiechem. – Może urodziłem się po to, by za młodu wziąć na barki ciężkie obowiązki? Ale, tak między nami, nie myślisz, że zasługuję na to, by się jeszcze trochę pobawić, zanim się zestarzeję?

Cofam się pospiesznie o krok. Moje łopatki i pośladki dotykają ściany.

– Nic jeszcze nie wzięliśmy do ust. Zapraszam cię na obiad. Napcham się pietruszką, rukolą, anyżkiem i miętą – ziołami, które wzmagają siły do miłosnych igraszek. Wyobraź sobie mnie wzmocnionego w tym względzie. – Wybuchają śmiechem.

– A kogóż to dręczysz tym razem, bracie? – W komnacie pojawia się ksiądz. Och, dzięki ci, Panie. Co więcej, to nie jest żaden zwykły ksiądz, tylko prawdziwy kardynał w czerwonym kapeluszu. Za nim kroczy jakiś chłopiec.

– Ach, mój pobożny Giovanni – woła Piero, wymachując przesadnie ręką w lekkim ukłonie. – Czy znasz maleńką *monnę* Elisabettę? Pozwól, że ci przedstawię. A ty, smakowita mała *monno*, poznaj mojego brata, najmłodszego kardynała w historii. Ten czerwony kapelusz udało mu się włożyć na głowę w wieku ledwie czternastu lat.

Kardynał Giovanni obejmuje Piera ramieniem i wita się ze mną nieznacznym skinieniem głowy.

– Cała przyjemność po mojej stronie. A to nasz najmłodszy braciszek, Giuliano – wskazuje chłopca.

Głupi, mądry i dobry. Powinnam czuć się zachwycona, mogąc poznać całą trójkę braci Medicich...